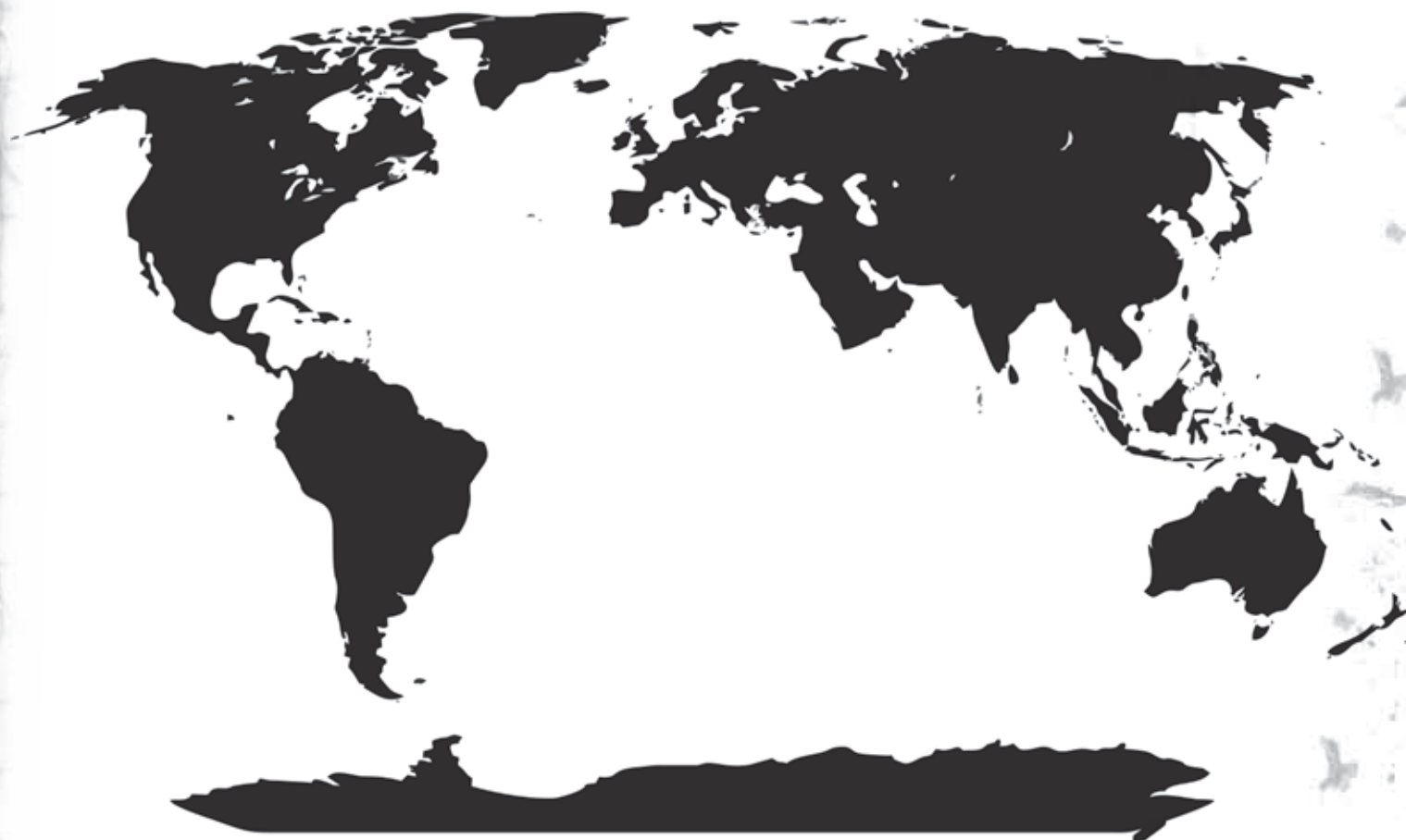


PREMIERA KWIECIEŃ 2012

mała scena → POKÓJ BECKETTA



JĄDRO CIEMNOSCI

Joseph Conrad / tłumaczenie: Jędrzej Polak

reżyseria: Szymon Kaczmarek

adaptacja, dramaturgia i opracowanie muzyczne: Żeliszaw Żeliszawski

scenografia i kostiumy: Kaja Migdałek

inspicjent-sufler: Renata Głasek-Kęska

występują:

MARLOW Andrzej Plata

MISTAH KONGO Edward Janaszek

DZIKUS Maciej Pesta

TEATR im. STEFANA ŻEROMSKIEGO w KIELCACH

Dyrektor naczelny i artystyczny PIOTR SZCZERSKI

Z Szymonem Kaczmarkiem, reżyserem, o „Jądrze...”, teatrze i marzeniach

Chcę odczarować obraz tego rejonu świata, od wieków służący nam, Europejczykom do zaspokajania naszych potrzeb: poznawania, zdobywania, bogacenia się, „odkrywania siebie”, zaspakajania najniższych instynktów: władzy, dominacji, przemocy. Gdy wyobrażamy sobie jej mieszkańca, widzimy „dzikusa” – a nie intelektualistę, który wyklada na tamtejszym uniwersytecie.

O czym będzie spektakl?

Conrad opisał spotkanie z czymś, czego wtedy nie potrafił rozpoznać: z kolonialną Afryką, gdzie obcinano ludziom ręce i mordowano ich tylko po to, aby zdobyć więcej kości słoniowej. Teraz, po doświadczeniach II wojny światowej, mamy już odpowiednie pojęcia, aby to nazwać, na przykład ludobójstwo. Próbuje więc otworzyć „Jądro ciemności”, sięgając po nowe intelektualne narzędzia i po reportaże z tego rejonu. Chcemy dowiedzieć się, jak tam się z teraz żyje, i rozliczyć z tym, jaki my Europejczycy

mamy w to wkład. Conrad wpisał swoje odczucia w konkretną sytuację: podróż w górę rzeki Kongo. My znaleźliśmy ten konkretny w sytuacji europejskiego turysty, udającego się na tropikalne wakacje. Z tym, że w odróżnieniu od Conrada, chcemy dać głos tamtejszej ludności, wczuć się w to, co mógłby chcieć opowiedzieć nam tamtejszy współczesny człowiek.

Każda Twoja sztuka to inny temat, inna stylistyka, inna epoka. Jaki teatr Cię interesuje? Poszukujący?

Być może tak właśnie można by to nazwać. Nie widzę powodu, aby powielać jakiekolwiek rozwiązania z poprzednich realizacji. Staram się robić wciąż coś nowego, a jedynym wspólnym mianownikiem dla kolejnych tematów jest poszukiwanie współczesnego punktu odniesienia, który jest niezbędny, by spektakl mógł przemówić do widza. Bo najważniejsze dla mnie jest zawsze spotkanie z publicznością. Wcześniej trzeba jednak mieć jej coś do powiedzenia.

Poszedłeś na reżyserię zaraz po maturze, miałeś jakieś inne pomysły na siebie?

Uważam, że niewiele jest rzeczy, które warto w życiu robić i jedną z nich jest teatr. Myślę, że jest on lub może być czymś ważnym. Chcę tego i marzę o tym, by właśnie tak było. Po maturze zdawałem jeszcze na ASP i na Międzywydziałowe Studia Humanistyczne, ale na pierwszy z tych kierunków się nie dostałem, a po drugim i tak miałem zamiar iść na reżyserię. Gdybym nie był reżyserem, to byłbym może... stolarzem?

W Kongo? Byłeś tam kiedyś?

Nie, znam ten kraj tylko z opowieści: książek, zdjęć, gazet, filmów. Chciałbym tam kiedyś pojechać.

Jak zapewne większość widzów, którzy przyjdą na spektakl. Czyli to będzie podróż na czarny ląd naszej wyobraźni.

Anna Zielińska



Szymon Kaczmarek, rocznik 1986, absolwent Wydziału Reżyserii Dramatu PWST w Krakowie; w 2008 roku wyreżyserował performance taneczny „Keret” – za ten spektakl grupa otrzymała pierwszą nagrodę w konkursie „Nowe Sytuacje”, w ramach festiwalu Malta. W tym samym roku pokazał „Kuszenie cichej Weroniki” w Teatrze Nowym w Krakowie; w Teatrze Wybrzeże zrealizował „Poskromienie złoŹnicy” (wyróżnienie na Festiwalu Szekspirowskim w Gdańsku). W łódzkiej szkole teatralnej reżyserował spektakl dyplomowy „Cztery”. Monodram Adama Nawojczyka w reżyserii Kaczmarka „My dzieci sieci (blogi.pl)”, zrealizowany w Starym Teatrze w Krakowie, zdobył główną nagrodę na pierwszym Międzynarodowym Festiwalu Błogów w austriackim Grazu. Ponadto: „Ewangelie” (wg własnego scenariusza na podstawie Ewangelii wg św. Jana) w teatrze Dramatycznym w Warszawie, „Nasze miasto” Thorntona Wildera i „Kordiana” w teatrze IMKA. Asystował Pawłowi Miśkiewiczowi przy spektaklu „Przedtem potem” i Krystianowi Lupie przy „Factory 2”, w którym zagrał rolę Dziennikarza.



I.

Większość marynarzy prowadzi osiadły tryb życia. Ich usposobienie wyraża domowy porządek rzeczy, a domy mają zawsze ze sobą – na statku. Podobnie jak kraj, którym jest morze. Każdy statek jest z grubsza podobny do innego, a morze jest zawsze takie samo. W nienaruszalności ich otoczenia obce brzegi, obce twarze, zmieniająca się różnorodność życia, przesuwają się mimo, osłonięte nie przez przeczcucie tajemnicy, lecz przez pogardliwą nieledwie ignorancję. [...] Po dniu pracy wystarczy mu zwykły spacer albo zwykła hulanka, aby odstąpiła się przed nim tajemnica całego kontynentu, którą zazwyczaj uznaje za niewartą poznania.

II.

Kiedy byłem malcem, pochłaniało mnie studiowanie map. Całymi godzinami potrafiłem wpatrywać się w Amerykę Południową czy Afrykę albo Australię i zapominałem o bożym świecie, pogrążony w chwałebnej pasji odkrywcy. W tamtym czasie na Ziemi było mnóstwo białych plam, a gdym ujrzał na mapie taką, która wydała mi się szczególnie obiecująca (a wszystkie były właśnie takie), kładłem na niej palec i mówiłem: „Poptnę tam, kiedy dorosnę”. [...] Niektóre już odwiedziłem i... doprawdy nie warto o tym mówić. Pozostała wszakże jedna – największa i, by tak rzec, najbielsza – i na nią miałem chrapkę. Co prawda, od tamtej pory plama ta nie jest już całkiem biała. Wypełniły ją od czasów mego dzieciństwa nazwy rzek, jezior, krain. Przestała być białą plamą rozkosznej tajemnicy – białym kle-

Wybrane z „Jądra ciemności”

ksem dla chłopca snującego chwałebne marzenia. Stała się miejscem, gdzie panują ciemności. Przez które biegnie pewna szczególna rzeka, imponująco potężna rzeka, którą widać na mapie – przypominająca przeogromnego węża w całej okazałości, z łbem moczącym się w morzu, cielskiem prężącym się ponad rozległą krainą i ogonem gubiącym się gdzieś w głębi lądu. Przyglądałem się mu na mapie w sklepowej witrynie, zahipnotyzowany jak ptak wzrokiem gada – głupiutki, mały ptaszek.

III.

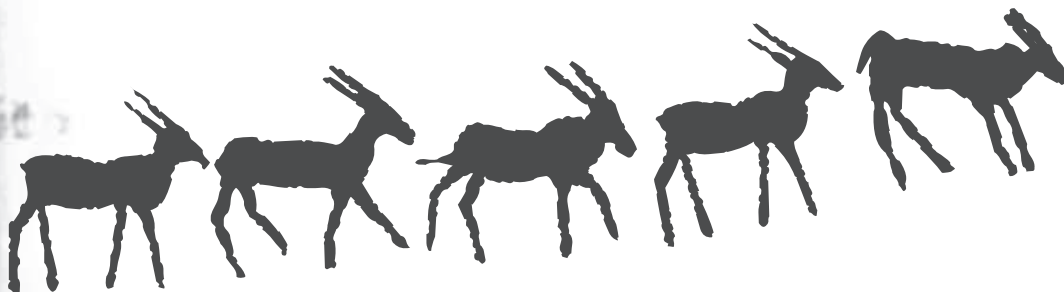
Miałem na myśli bardzo dawne czasy, gdy przybyli tu po raz pierwszy Rzymianie, tysiąc dziewięćset lat temu. [...] Wyobraźcie sobie, co czuł dowódca potężnej tryremy na Morzu Śródziemnym, któremu nagle rozkazano płynąć pospiesznie śródlądem poprzez Galię na północ, człek stojący na mostku jednego z tych statków budowanych ponoć przez legionistów całymi setkami przez miesiąc albo dwa, jeśli wierzyć temu, co czytamy. Wyobraźcie go sobie tutaj, na samym krańcu świata – morze barwy ołowiu, niebo koloru dymu i statek sztywny jak akordeon – jak płynie w górę tej rzeki z zaopatrzeniem, rozkazami, czymkolwiek chcecie. Piaszczyste łachy, mokradła, lasy, dzicy – niemal nic do jedzenia dla cywilizowanego człowieka, a do picia tylko woda z Tamizy. Zabrakło falerna, na brzeg nie da się wyjść. Tu i ówdzie wojskowy obóz zagubiony w głuszy, jak igła w stogu siana – zimno, mgła, burze, choroby, wygnanie i śmierć... śmierć czyhająca w powietrzu, w wodzie, w gęstwinie. Musieli tu padać jak muchy. No tak... udało mu się. Powiodło mu się bez wątpienia i nawet się nad tym specjalnie nie zastanawiał, może dopiero później, gdy się przechwalał, przez co w swoim czasie przeszedł. Ci ludzie byli wystarczająco mężni, by stawić czoła ciemności. Kto wie, może człek ów przez cały czas pocieszał się myślą o niechyb-

nym awansie do floty w Rawennie – przyjmując, że miał dobrych przyjaciół w Rzymie i przetrwał okropny klimat. Albo wyobraźcie sobie jakiegoś przyzwoitego młodego obywatela w todze – pewnie za często, pojmujecie, siadał do gry w kości – który przybył tu, licząc na odmianę fortuny, w orszaku jakiegoś prefekta albo poborcy podatków, czy choćby kupca. Staje na lądzie pośród bagien, maszeruje przez bory i gdzieś w jakiejś faktorii w głębi lądu czuje, że ogarnia go, zamyka go w sobie, barbarzyństwo, zupełne barbarzyństwo – ogrom niepoznanego życia gęszy tętniącego w lasach, w borach, w sercach dzikich ludzi. Ku takim misteriom nie wiedzie żadna inicjacja. Wypada mu żyć pośród nieogarnionego, które jest mu zarazem wstrętne. Ale co gorsza, fascynuje go równocześnie do samej głębi. Fascynuje, gdyż, jak wiecie, wzbudza odrzę. Wyobraźcie sobie narastający żal, pragnienie ucieczki, bezsilne obrzydzenie, rezygnację, nienawiść.

IV.

Natknąłem się na kociot walający się w trawie, a potem odnalazłem ścieżkę prowadzącą na wzgórze. Dróżka omijała głazy, a także wagonik kolejowy leżący z kołami w powietrzu. Jedno odpadło. Wagonik wyglądał, jakby zdechł, niczym ścierwo jakiegoś zwierzęcia. Natykałem się na kolejne niszczące szczątki maszynierii, stertę zardzewiałych kolejowych szyn. [...] Z prawej zawył syrena i ujrzałem biegnących czarnych. Ciężka, przytłumiona detonacja wstrząsnęła ziemią, od klifu oderwał się obłoczek dymu i to wszystko. Na skalnym licu nie zaszła żadna zmiana. Budowali kolej. Klif w niczym im nie przeszkadzał, ani trochę. Wszelako te bezcelowe wybuchy były jedynymi pracami, jakie tu wykonywano.

Prawa autorskie do przekładu
Jędrzeja Polaka powieści
„Jądro ciemności” Josepha Conrada
reprezentuje w Polsce
Wydawnictwo Vesper
ul. Wieruszowska 16, 60-166 Poznań



przez większość Afrykanów stronili od kontaktów z cywilizacją. Harmonijnie wtopieni w otaczającą naturę nigdy nie praktykowali kanibalizmu, żyli w monogamii, nie karcili dzieci, a ich kobiety w przeciwieństwie do rostrych Murzynek nie musiały ciężko pracować, obciążone jedynie gotowaniem i opieką nad potomstwem. Każda próba poddania ich edukacji na modłę „białych” kończyła się pospieszną ucieczką. Znali natomiast antidotum na jad węży, środki zapobiegające ciąży, leki na zaawansowaną gruźlicę, w ciągu 24 godzin przywracali matkom utracony pokarm. Unikali przemocy: nie zabijali goryli, ani szympanów – chyba że w „słusznym” odwecie za atak na członka swojego plemienia.

„Kontynent, który nazywają czarnym, przestał nim być od czasu, kiedy Johnsonowie ukazali nam go w pełni światła na niezwykłych zdjęciach” – powiedział zachwycony Ernest Hemingway po obejrzeniu filmu amerykańskiej pary i... nie miał racji. Pionierskie dokumenty Johnsonów, chociaż znakomite i budzące do dziś emocje, były jednak filmami z pewną tezą. Ich Kongo³ to kraina w Dniu Stworzenia.

Dokładnie 42 lata wcześniej, w październiku 1890 r., Józef Konrad Korzeniowski chory na febrę i dyzenterię opuszczał Afrykę. Wracał do Europy zaledwie w miesiąc po objęciu komendy na małym, rzeczonym parowcu „Roi de Belge” – śmiertelnie przerażony tym, co zobaczył w rajszych ogrodach Johnsonów. Wyruszając do Konga, jako doświadczony już marynarz i podróżnik, zdawał sobie sprawę zarówno z czekających go naturalnych niebezpieczeństw, jak i stosunków panujących na terenach kolonialnych. Jednak codzienność w zamorskim „folwarku” belgijskiego króla Leopolda II musiała wywołać wstrząs u polskiego szlachcica, wychowanego w rodzinie pielęgnującej romantyczne tradycje niepodległościowe⁴.

W czasie, kiedy niewolnictwo było zniesione od niemal 50 lat w koloniach brytyjskich, francuskich, a nawet hiszpańskich w Kongu urządzano dzikie polowania na ludzi. Nie tylko za sprawą „białych”. Niewolnictwo stanowiło element organizacji społecznej jeszcze przed przybyciem Europejczyków. Sprawilo to zapewne, że niektóre plemiona zaczęły ciągnąć zyski z handlu żywym towarem. Proces wynikłej stąd demoralizacji stale się pogłębiał, doprowadzając do zaniku wszelkich hamulców, zniszczenia struktury społecznej i zerwania więzi rodzinnych. Silniejszy sprzedawał słabszego, rodzice za „grosze” swoje dzieci, a dzieci rodziców. Samo zaś tzw. Wolne Państwo

21 lipca 1932 roku nowojorska publiczność, nawykła do komedii Chaplina i ekspresyjnej gry Valentino, przybyła tłumnie na premierę „Congorilli” Ossy i Martina Johnsonów – dokumentalnego obrazu, reklamowanego przez wytwórnię Fox jako „jedyne film dźwiękowy w pełni zrealizowany w Afryce”.

Kiedy projektor ruszył przed oczami widzów poderwały się do lotu długonogie flamingi, wśród ryku krążących lwów i chichotu hien stada gazeli, antylop i żyraf pokonywały niezmierzone przestrzenie sawanny. Zaledwie chwilę później z okrytego mgłą lasu wyłoniły się goryle o rozumnych, czekoladowych oczach. Rozkrzyczane ptaki fruwały między sięgającymi przestworzy drzewami

Iturii¹. Wielkie motyle przysiadły na oplatających liany orchideach – nieomal czuć było słodki zapach miodu, duszący fetor drzew mangrowych, zmysłowe aromaty przypraw. Aż w końcu elegancka widownia znalazła się w wiosce najniższych ludzi świata. Widok aniołów Afryki, Pigmejów², należał do rzadkich atrakcji. Zepchnięci w najodleglejsze rejony dżungli i pogardzani

Kongo było rodzajem państwowej kompanii. Rządziła nim grupa powiązanych ze sobą spółek, które eksploatowały powierzone im ziemie z bezwzględnością większą niż gdziekolwiek w Afryce. W krótkim czasie zmonopolizowały produkcję kauczuku. Zbieraczom płaciły zanizone ceny, a sił zbrojnych używały, by zmuszać wsie do dostarczania kontyngentów. Obowiązywał całkowity zakaz edukacji tubylców, wykonywano masowe egzekucje, brutalnie tłumiono bunt. „Rozdrapywano” dawne konflikty międzyplemienne, żeby nie dopuścić do porozumienia między krajowcami.

Tak administrowana kolonia zapewniała zarówno osobiste dochody Leopoldowi II i jego przyjaciołom w Brukseli, jak i zyski państwu belgijskiemu⁵. Belgowie zamordowali w Kongu ok. 15 milionów ludzi, dokonując tym samym jednego z największych i najbardziej zapomnianych aktów ludobójstwa w historii świata⁶. Szacunki te nie dotyczą ofiar krwawych kultów i kanibalizmu.

Zwykle z przymrużeniem oka, jako infantylne wymysły fantastów, traktuje się opowieści o ludożercach oblizujących się ze smakiem podczas gotowania w kotle podróżników. I słusznie. Na ogromnych przestrzeniach „Czarnego Łądu” nic podobnego nie miało miejsca. Antropofagia wprawdzie zdarzała się tu i ówdzie, ale miała podłoże rytualne i, w dużym uproszczeniu, dotyczyła zazwyczaj kilku wybranych narządów, wraz ze spożyciem których sakralne moce zmarłego przodka lub zabitego w walce wojownika przejmowali konsumenci. W Kongu było inaczej - kanibalizm przybrał tu formę szaleństwa. Na przełomie XIX i XX w. stał się powszechny, a jego ślady w postaci suszonych się na gałęziach ludzkich dłoni i stóp widoczne były prawie na każdym kroku. Ludzkie mięso nabywało się bez

trudu na bazarach. Zbliżająca się agonia jednych wzmagała apetyt drugich. Starzec, kobieta, czy dziecko – do garnka mógł trafić każdy.

Ta mroczna opowieść powinna skończyć się w tym miejscu mniej więcej tak:

Kongo uzyskało niepodległość i dzięki eksploatacji licznych surowców naturalnych (w tym koltanu⁷, diamentów i złota) oraz uprawie żyznej ziemi stało się afrykańską potęgą gospodarczą. Krajowcy drżą na myśl o złamaniu tabu ludzkiego mięsa. Na turystów czekają muzea niewolnictwa, luksusowe kurorty i bezkrwawe safari szlakiem Johnsonów. Na tereny Pigmejów bez zaproszenia gospodarzy wstęp wzbroniony. Kropka. Powinna, ale tak się nie skończy.

Demokratyczna Republika Konga zapisuje kolejny rozdział historii, przy którym „Dziwiasty krag” Dantego⁸ to lektura wcale przyjemna. Gospodarka Konga w latach 90-tych XX w. była ruiną: inflacja stała na poziomie 1000 proc. Kraj pod rządami dyktatora Mobutu⁹ stał się pariasem Zachodu – w zamian za popieranie idei prozachodnich mógł liczyć na pomoc ekonomiczną. Wszystko zmieniło się po upadku ZSRR, kiedy cywilizowany świat zaczął naciskać na demokratyzację i poszanowanie praw człowieka. Od tego czasu w Kongu trwają nieustannie walki. W roku 1998 przekształciły się w wojnę domową, zwaną też Wielką Wojną Afrykańską – najkrwawszy konflikt zbrojny na świecie od 1945 r. Wzięła w niej udział rekordowa liczba dzieci-żołnierzy. Wojna zakończona oficjalnie w 2003 r. trwa nadal we wschodnich prowincjach. Pochłonęła do roku 2008 prawie 6 mln ofiar. Wg raportów ONZ od roku 2009 ginęło 45 tys. ludzi miesięcznie. W Kongu gwałcone są nie tylko kobiety i kilkuletnie dziewczynki, ale także mężczyźni – ta nowa taktyka wojenna jest dość łagodna

w porównaniu z szerzącym się kanibalizmem. „Bojownicy” zmuszają jeńców do zjadania własnych uszu, nosów i palców. Pożerane są dzieci ze spacyfikowanych wiosek. Prawdopodobnie po raz pierwszy od 3 tys. lat Pigmeje opuścili dżunglę, szukając ratunku. Wobec napastników z karabinami maszynowymi są zupełnie bezbronni. Ich stosunki z ludnością Bantu nigdy nie układały się najlepiej: przez stulecia byli przez nich wykorzystywani i oszukiwani. Nie skarżą się, nie odczuwają nawet aktów umiarkowanej przemocy jako krzywdy. Są sługami z wyboru. Niemal skrajnie rozumiany altruizm jest wpisany w ich filozofię. Kiedy zaczynała się wojna było ich ok. 60 tys. – przetrwało kilka tysięcy i nadal są zarzynani. Przywódcy partyzantów wierzą, że zjedzenie narządów piciowych Pigmeja zapewnia nadnaturalną moc. Inni, że to nie ludzie i można na nich polować. Schwytanym Pigmejom łamię się nogi, żeby nie uciekli i żywi stanowili zapas świeżego mięsa.

Generał L. Nkunde, oskarżany przez Międzynarodowy Trybunał Karny o zbrodnie wojenne, twierdzi, że jako pastor i kaznodzieja Kościoła Adwentystów Dnia Siódmego czynił tylko dobro. Złoto wyłukiwane w Iturii przez tysiące niewolników i szmuglowane do Ugandy kupują międzynarodowe korporacje. Starzec Mandela pyta: „Coście zrobili z waszą wolnością, o której śnili nasi przodkowie?” ONZ pisze raporty. Ubiegłoroczne wybory prezydenckie rozpoczęły kolejną falę bezprawia i mordów. W każdej chwili wojna może znowu ogarnąć całe Kongo. Kontyngent pokojowy jest bezradny - Zachód angażuje się w „poważniejsze” sprawy¹⁰. Świat wzrusza się losami waleni, czytuje z przejęciem „Jądro ciemności” Josepha Conrada¹¹ i milczy.

dr Angelika Uziębło,
antropolog kultury,
reżyser dokumentalista

¹ Prowincja w północno-wschodniej części Konga.

² Plemiona zbieraczolowieckie zamieszkujące lasy równikowe w Afryce Centralnej (dorzecze rzeki Konga), uważane obok Buszmenów za najstarszych mieszkańców kontynentu. Średni wzrost mężczyzn wynosi 146-148 cm. Do XX w. przetrwało ich ok. 100 tys., z czego 60 tys. w Demokratycznej Republice Konga. Dzielią się na trzy grupy: Binga, Mbuti, Ogowe i Bongo. Nie znają obróbki narzędzi kamiennych, ich strzały nie mają ostrzy, mieszkają w szałasach w kształcie ula.

³ Obecnie Demokratyczna Republika Konga. W latach 1887-1908 prywatna posiadłość króla Belgii pod nazwą Wolne Państwo Kongo. Od roku 1908 do uzyskania niepodległości w 1960 r. - Kongo Belgijskie. W latach 1971-97 Zair (pod rządami Mobutu).

⁴ Józef Teodor Konrad Korzeniowski – był potomkiem

powstańców listopadowych i styczniowych. Otrzymał trzecie imię Konrad po bohaterze „Dziadów”, jako wyraz hołdu złożonemu Mickiewiczowi. Ojciec Apollo konspirator i zdeklarowany demokrat, osadzony był w Cytadeli, a następnie zesłany wraz z żoną i małym Konradem do Wołogdy. Pseudonim Joseph Conrad przybrał zrytowany deformowaniem w obcych językach swojego nazwiska, do którego był szczerze przywiązany i nigdy go nie zmieniał.

⁵ Kongo było wtedy jedyną kolonią w Afryce, która przynosiła bezpośrednie zyski europejskiej metropolii.

⁶ Szczegółowo zbrodnię ludobójstwa popełnioną przez Belgów opisuje Adam Hochschild w „King Leopold's Ghost: A Story of Greed, Terror and Heroism in Colonial Africa”.

⁷ Surowiec wykorzystany przy produkcji sprzętu elek-

trycznego. DRK jest jego głównym eksporterem na świecie - 80% światowej produkcji koltanu pochodzi z Konga.

⁸ Dante Alighieri, Boska Komedia (Piekle, Pieśń Trzydziesta czwarta, Dziwiasty krag).

⁹ Sam Mobutu zgromadził w tym czasie na swoim prywatnym koncie w Szwajcarii 8 mld dolarów.

¹⁰ Największa misja wojskowa ONZ na świecie. Hindusi i Pakistańczycy wchodzący w skład kontyngentu coraz częściej oskarżani są o gwałty na nieletnich (wg magazynu Forbes), a także o sprzedaż za złoto broni formacjom odpowiedzialnym za ludobójstwo w Kongu i Ruandzie (wg BBC).

¹¹ UNESCO ogłosiło rok 2007 rokiem konradowskim.

z próby

CZERNI CZY BIEL?

ODWIECZNY DYLEMAT WŁADZY

Każdy ma w sobie dobro i zło. Może nawet w tej samej ilości. Jasność i ciemność. Pragnienie dobra jest równie silne jak skłonność do czynienia zła.

Od czego zależy zachowanie proporcji? Czy determinowane są nasze wybory? Kiedy tracimy poczucie właściwej oceny sytuacji? Czy jesteśmy to w stanie zauważyć i umknąć niebezpieczeństwu? Co sprawia, że zachłanność zaczyna usprawiedliwiać wszystkie nasze czyny? Skąd w człowieku tyle zwierzęcego okrucieństwa i przeświadczenia o konieczności zaspokojenia własnych potrzeb kosztem życia innych? Na ile okoliczności zewnętrzne sprzyjają przemianie jednostki nieprzeciętnej, wybitnej, najlepszej, uzdolnionej, podziwianej, obdarzonej darem wielkości w sadystyczną bestię bez uczuć, ulegającą podstawowym żądom?

„Jądro ciemności” (*Heart of Darkness*), pierwszy raz opublikowane w 1899 (w *Blackwood's Magazine*), pozornie dotyczy określonych osób i określonych wydarzeń. Dotyczy też określonej rzeczywistości i mechanizmów działających w konkretnym państwie kolonialnym. Marynarska

gawęda Marlowa to całkiem wiarygodna opowieść o podbijaniu odległego, dzikiego, afrykańskiego lądu przez białych, cywilizowanych przedstawicieli kompanii handlowych, o bezlitosnym łupieniu tubylców pod zaciętym pretekstem niesienia „wartości” europejskich i szerzenia zdobyczy cywilizacji, o przejmowaniu surowców i bogactwa podbijanych ziem. Tak naprawdę jednak jest to szczegółowe i bardzo wnikliwe studium władzy, analiza jej ciemnych stron i związanych z nią zagrożeń.

Conrad koncentruje się na opisie destrukcyjnego działania władzy. Każdej. Przeszłej, teraźniejszej i przyszłej. Władzy wszechpotężnej, występującej wszędzie tam, gdzie pojawia się człowiek, który uwierzył, że jest lepszy od innych. Mimo upływu lat i pozornego rozwoju cywilizacyjnego nie straciły na sile dążenia wielu społeczeństw i narodów do zdobywania dóbr materialnych siłą, do walki w imię sztucznie tworzonych, ale zawsze szczyt-

nych idei. Wystarczy sobie przypomnieć wszystkie współczesne konflikty zbrojne. O co w nich chodzi? Czy nie o to samo, co w Conradowskiej „historii kolonialnej”? Czy napędem wszystkich wojen i podbojów nie są niskie instynkty, wśród których najmroczniejsza jest niepokonana chciwość?

W każdym człowieku, w ciemnym zakamku każdej duszy, kryją się przecież podstawowe instynkty: żądza, dzikość, okrucieństwo. Zamaskowane, schowane za wzniosłymi słowami, mniej lub bardziej udanie naśladowujące miłość, szlachetność, waleczność. Czy mielibyśmy świadomość jasności, gdyby nie doświadczanie ciemności? Dobro nie istnieje bez zła, a zło nie istnieje bez dobra. Umieć je odróżniać to sztuka, której uczymy się całe życie. Często bezskutecznie, jak Kurtz.

Dr Marzena Marczevska,
UJK



CONRAD

Józef Teodor Konrad Korzeniowski, herbu „Nałęcz”
1857-1924.

Jeden z największych pisarzy XX wieku – jak go dziś określają krytycy – urodził się 3 grudnia 1857, w Berdyczowie na Ukrainie. Niewielkie miasteczko kresowe, należące wtedy do imperium rosyjskiego, w przeważającej części zamieszkałe przez ludność żydowską. To dało początek pogłosce, że pisarz był Żydem. Joseph Conrad dementował tę plotkę: „Gdybym był Izraelitą, nigdy nie wypierałbym się przynależności do rasy, która odegrała tak wyjątkową rolę w religijnej historii ludzkości”.

Ojciec przyszłego pisarza, Apollo Korzeniowski, zawarł związek małżeński z Ewelina Bobrowską w Oratowie (1856), rodzinnym majątku Bobrowskich. Podejmował różne prace, aby zapewnić żonie i synowi godziwe warunki egzystencji. Ale w jego biografii przeważają działania patriotyczne, spiskowe, antyrosyjskie, więc efektem tego zaangażowania była zsyłka w głąb Rosji, gdzie czteroletni dzieciak wraz z rodzicami spędził pięć lat (1862-1867). Matka zmarła wcześniej (1865, Czernihów k/Kijowa). Ośmioletnim siostrzeńcem zaopiekował się wuj Bobrowski. Wychowywał go w atmosferze „romantycznego patriotyzmu oraz poczucia przynależności do katolicyzmu”. Po amnestii ojciec i syn wrócili do Polski, zatrzymując się najpierw we Lwowie, a następnie osiedli na stałe w Krakowie, gdzie chłopiec pobierał nauki w gimnazjum św. Anny, ale szkoły nie skończył. Po śmierci ojca (23 maja 1869) w Krakowie mieszkał jeszcze pięć lat pod czułą opieką wuja, spod której wyrwał się w świat, wyjeżdżając do Francji (1874). Miał wtedy 17 lat. Wylądował w Marsylii, bo jego marzeniem były podróże „po morzach i oceanach”.

W wywiadzie udzielonym Marianowi Dąbrowskiemu (1914) tak wspomina ten fakt: „Polskę opuściłem w 17 roku życia. Tajoną myślą moją było dostać się na morze, wstąpić do marynarki angielskiej. Tak, prosto z V-tej klasy gimnazjum Świętej Anny w Krakowie. Po śmierci ojca przygotowywał mnie mój guwerner. Wreszcie uprosiłem wuję o opiekuna – puścił mnie, ale do Francji, do Marsylii. Do Anglii marzyłem, lecz ani słowa po angielsku nie umiałem”.



W Marsylii poznał marynarza, syna Ignacego Chodźki. Ten wprowadził go w środowisko marynarzy. Wstąpił do marynarki francuskiej, nauczył się żeglarstwa. Zetknął się także z cyganerią artystyczną i pływał po Morzu Śródziemnym, przemycił broń do Hiszpanii, uczestniczył w dłuższych rejsach do Indii Zachodnich. Wspominał: „Bawiłem się, żyłem wesoło. Ach, prawda, nawet kontrabandę wojenną, broń Karlism na brzegi Hiszpanii nieraz dowoziłem”. Pierwszą prawdziwą podróż Conrad odbył na statku „Mont Blanc” w drugiej połowie 1875 r. W spisie załogi z tego rejsu figuruje jako „Conrad Korrcuiwski”, (trudno się dziwić, że zmienił nazwisko!), nowicjusz lat siedemnaście i pół, obywatel rosyjski.

W cytowanym wywiadzie M. Dąbrowski wyraził życzenie: „Chciałbym odnaleźć w angielskim pisarzu nieśmiertelność Polski”. W odpowiedzi usłyszał: „Nieśmiertelność Polski? Wy – my. Któż o tym wątpi? Angielscy krytycy – wszak istotnie jestem pisarzem angielskim – mówiąc o mnie, zawsze dodają, że jest we mnie coś niezrozumiałego, niepojętego, nieuchwytnego. Wy jedni to nieuchwytnie uchwycić możecie, niepojęte pojąć. To jest polskość. Polskość, którą wzięłem do dzieł swoich przez Mickiewicza i Słowackiego. Pana Tadeusza ojciec czytał mi głośno i mnie

czytać kazał głośno. Nie raz, nie dwa. Wołałem Konrada Wallenroda, Grażynę. Później wołałem Słowackiego. Wiecie, dlaczego Słowackiego? Il est l'âme de toute la Pologne, lui”. Nigdy nie wygasły w nim polskie emocje, a wiele razy odczuwał dumę, że jest Polakiem. Na pytanie M. Dąbrowskiego, czy zna Sonety krymskie i czy odnalazł w nich jakiś element swojej twórczości – odpowiedział: „Nie, wie pan, zupełnie nie. Mickiewicz miał przed sobą burzliwe jezioro. Morze widzi się dopiero w drodze do Singapoore, do Australii. Ale prawda, pana to dziwi zapewne, że ja, Polak, zostałem marynarzem, kapitanem okrętu? Właśnie. Jakiś nic nie znaczący chłopak z kresów, z zapadłej krainy, z jakiegoś Polski został bez protekcji kapitanem angielskiej marynarki. Czy pan mnie rozumie? Chciałbym przeżyć raz jeszcze te chwile, kiedy w Singapoore zwrócono się do mnie jako do kapitana okrętu po raz pierwszy. Niemiecki okręt. Ha! ha! ha! Niemiecki okręt musiał mnie uznać za kapitana. Pan rozumie? Prusacy uznają nas, oddają nam honory...”.

Po półrocznym niemal praktykowaniu żeglarstwa w Marsylii pojechał do Londynu, bo – takie było powszechne przekonanie – prawdziwym marynarzem może być tylko Anglik. Wypełniwszy wszystkie warunki ruszył w rejsy na morza i oceany. Po złożeniu odpowiednich egzaminów 11 listopada 1886 r. uzyskał „Certificate of Competency as Master”. Żegnając się z kapitanem statku, na którym pływał, usłyszał zakamuflowaną pochwałę: „Gdyby pan szukał pracy, proszę pamiętać, że póki ja mam statek, i pan go ma także”. Rzecz niespotykana, że Polak został kapitanem marynarki brytyjskiej, Zrezygnował z tej służby (1894) i osiadł pod Londynem, założył rodzinę. Jego żoną została Jessie George (ślub 24 marca 1896; 15 stycznia 1988 urodził się syn, Borys; 1906 – drugi syn, John).

Z tych rejsów, z doświadczeń zdobytych, powstały jego znakomite książki. Oto niektóre z nich: Szaleństwo Almayera (1895), Murzyn z załogi „Narcyza” (1897), Lord Jim (1900), Nostromo (1904), Tajny agent (1907), W oczach Zachodu (1911), Smuga cienia (1917), Złota strzała (1919).

Maria Dąbrowska w znakomitych Szkicach o Conradzie (1959) napisała: „Jeśli wydaje się czasami, że tylko liryka jest sztuką, to w prozie Conrada liryzm wynurza się z samej kompozycji epicko podanych faktów. Wynurza się z najbardziej nawet niepoetycznych spraw życia, by w drobniawym opisie interesów i przygód zaskoczyć nas nagle wzruszeniem najczystszej poezji”.

Prof. Stanisław Żak



foto J. Dorkiewicz

Pisarz, który nie trzymał z silniejszymi

Twórczość Teodora Józefa Konrada Korzeniowskiego, znanego jako Joseph Conrad, weszła na trwałe do kanonu światowej literatury. Jednym z ważniejszych tego powodów wydaje się fakt, że jakkolwiek z urodzenia był Polakiem, pisał po angielsku. To znakomicie wpłynęło na recepcję jego dzieła, na starcie miał już bowiem zapewniony nieporównywalnie większy krąg odbiorców, niż jego polscy pobratymcy po piórze, publikujący w języku ojczystym.



z próby

Rozgłos, jaki zdobyła proza Conrada, wielkoświatowym odbiorcom nie do końca jednak uzmysławia, jak znaczący wpływ na literackie dokonania autora „Lorda Jima”, miały jego polskie korzenie. Nawet w sferze czysto językowej – po mistrzowsku operował angielszczyzną, do której wprowadził nowy, bardziej swobodny, wcześniej w tym języku nieobecny szyk słów, wzbogacając go o nowe tony melodyczne i rytmiczne. Rzecz jednak sprowadza się nie tylko do oryginalności stylu pisarza.

O wiele ważniejsza wydaje się jego postawa filozoficzna. Maria Dąbrowska pisała o Conradzie, że „ukazuje nam swoistą wartość życia polegającego na twórczym zmaganiu się godności woli człowieka z chaosem

rozprzężenia, czyhającym z zewnątrz i wewnątrz naszej duszy” (1926). Postawę taką ukształtowały czasy, w których przyszło mu żyć, kiedy to wcześniej, jako niespełna pięcioletek, zaczął doświadczać losu wygnania.

Ojciec prozaika, Apollo Nałęcz Korzeniowski, dramaturg, poeta i tłumacz, a także związany z konspiracją „czerwonych” organizator patriotycznych manifestacji, jesienią 1861 roku został aresztowany i osadzony w osławionym X Pawilonie Warszawskiej Cytadeli. Następne lata (1862-1867) spędził wraz z najbliższymi na zesłaniu w głębi Rosji (Wołogda) - tam też pochował żonę. Ułaskawiony, wrócił z dzieckiem do kraju i osiadł w Krakowie, gdzie po trudach zsyłki, przedwcześnie, jako zaledwie czterdziestodwuletni, zakończył życie w 1869 roku.

Jego syn, jedenastoletni sierota, został przygarnięty przez wuję Tadeusza Bobrowskiego, ziemianina wotyńskiego; jemu to właśnie Conrad zadedykował później swój prozatorski debiut – „Szaleństwo Almayera” (1895). Zanim do tego doszło, młodociany Korzeniowski trafił w 1874 roku do Marsylii i rozpoczął służbę na morzu. Cztery lata później znalazł pracę w brytyjskiej marynarce handlowej, gdzie dosłużył się stopnia kapitana. W 1886 roku otrzymał obywatelstwo brytyjskie, osiadł na stałe w Anglii i ostatecznie zajął się pisarstwem.

Nad całym życiorysem Conrada zaciążyła jednak okoliczność czasu i miejsca urodzenia – 3 grudnia 1857 roku w Berdyczowie – co w owych latach czyniło go poddanym rosyjskim. Wstąpienie niespełna siedemnastoletniego Polaka do marynarki tak daleko od kraju, wiązało się też z chęcią rozbratu z carską armią, gdzie jako potomek „buntowuszczyka” mógł być pewny rygorów specjalnego nadzoru. Osobiste zmagania z mało wdzięcznym losem startującego do dorosłości Korzeniowskiego-Conrada były zresztą typowe dla całych pokoleń ówczesnej formacji polskiego ziemiaństwa przemocą pozbawionego dziedzictwa.

Do nich to, ludzi na skutek powojennych carskich represji wyluzowanych z majątków, a zatem bez środków do życia, przylgnęło z czasem określenie zaczerpnięte z tytułu powieści Antoniego Sygietyńskiego „Wysadzony z siodła” (1890). Powieść była metaforą losów podupadłej, patriotycznie nastawionej szlachty, choć ją zarazem demitologizowała. Najbardziej wykształcony odłam owych „wysadzonych z siodła” podejmował się wszelako całkiem wartościowych

przedsięwzięć, określając nimi perspektywy rozwoju rodzącej się polskiej inteligencji.

W losach Conradowskich bohaterów można dopatrzeć się tych wyróżniających cech charakteru, które rodzą się i hartują w warunkach ekstremalnego zagrożenia. Jednak w odróżnieniu od zachodnio-europejskich czy amerykańskich kolegów po piórze, pisarstwo Conrada wyróżniał szczególny rodzaj empatii. Od „Lorda Jima” (1900) przez „Tajfun” (1902) i „Jądro ciemności” (1902) wprowadza on postać Marlowa, którego niezwykłą cechą było to, że nie trzymał z silniejszymi.

On to, jako główny bohater „Jądra ciemności”, w skutych łańcuchami, okrutnie traktowanych czarnych niewolnikach belgijskiego Konga, widział nie tyle zmuszany do pracy ponad siły „materiał roboczy”, ile wycieńczonych ludzi umierających przez chciwych zysku, nieuczciwych białych zaradców. Czy w konającym na oczach Marlowa nastoletnim czarnoskórym chłopcu, ściskającym w garści podarowany sucharek, Conrad dostrzegł wariant własnego losu, gdyby nie udało mu się w porę opuścić Wołogdy? – pozostaje nam się tylko domyślać. Prawdą jest natomiast, że porteparole autora szybko wyzbył się złudzeń, co zaszczipianej przez jego możliwych pracodawców szczytnej wizji niesienia „misji cywilizacyjnej” świata określanemu i traktowanemu jako dzicz.

Joseph Conrad był pisarzem, któremu jeszcze u zarania życia dane było wyrwać się spod wszechogarniającej, dominującej siły zniewolenia. Dlatego tak czuły był później na jej każdy, najdrobniejszy nawet przejaw. Stąd też jego proza jest tak dalece inna od rozmaitych apologii Brytyjskiego Imperium, nad którym nigdy nie zachodzi słońce, czym na przykład Rudyard Kipling zapracował sobie na literackiego Nobla.

Bohaterowie Conrada byli z natury rzeczy buntownikami. Podobnie jak sam autor rzucający swoimi utworami wyzwanie bezdusznym i wyrachowanym urzędnikom, triumfalnie rozpierającego się w swej pysze świata kolonializmu. Jego ostrzeżenia z przełomu poprzednich wieków nadal są zaskakująco aktualne - dziś wszelako mało kto się do tego otwarcie przyzna, bo tym samym naruszyłby klauzule umowy, którą zawarł z nim ten czy inny możny, korporacyjny pracodawca.

Janusz R. Kowalczyk,
krytyk teatralny

Sven Lindqvist, *Wytepić całe to było*

(tłum. Milena Haykowska, W.A.B., Warszawa 2009)



Kwintesencja myśli europejskiej? Tak, istnieje zdanie, krótkie i proste zdanie, trzy lub cztery słowa opisujące dzieje naszej części świata, naszego człowieczeństwa, całą historię naszej biosfery od holocenu po Holokaust.

Nie mówi ono jednak nic o Europie jako ojczyźnie humanizmu, demokracji i dobrobytu. Nie mówi więc nic o tym wszystkim, z czego nie bez racji jesteśmy dumni. Niesie jedynie tę prawdę, którą najchętniej wymazalibyśmy z pamięci.

Studiowałem to zdanie wiele lat. Zebrałem ogromny materiał, na którego przeanalizowanie nigdy nie znalazłem czasu. Chciałbym zniknąć gdzieś w tej pustyni, gdzie nikt by mnie nie znalazł, gdzie miałbym czas tylko dla siebie. Zniknąć i nie wrócić, dopóki nie zrozumie tego, co już wiem.

Ekran rozjaśnia się blaskiem i fraza, którą od tak dawna studiuję, oślepia mnie w mroku pokoju.

„Europa” wywodzi się z semickiego słowa oznaczającego mrok. Litery pływające na ekranie układają się w prawdziwie europejskie zdanie. To pogląd istniejący na długo zanim na przełomie lat 1898 i 1899 sformułował go polski pisarz, który często myślał po francusku, ale pisał po angielsku: Joseph Conrad.

Kurtz, główny bohater *Jądra ciemności*, kończy swój raport o niesieniu cywilizacji

wśród dzikich w Afryce odręcznym postscriptum. Wydobywa ono z górnolotnej retoryki dzieła jego prawdziwą treść.

I to zdanie świeci teraz z ekranu.

„Exterminate all the brutes”.

„Wytepić całe to było”.

Współczesnemu czytelnikowi *Jądra ciemności* muszą towarzyszyć uczucia podobne do tych, które towarzyszyły Marlowowi czytającemu raport Kurtza: pomieszenie zachwytu i obrzydzenia, odrzucenia i fascynacji. Muszą nachodzić go myśli o tym, że należałoby te książki zakopać albo spalić. I myśli o tym, że trzeba ją czytać ciągle od nowa. W równym stopniu „pomimo”, jak i „z powodu” oskarżeń o rasizm i obskurantyzm, najmocniej chyba sformułowanych przez nigeryjskiego pisarza Chinuę Achebe, który nazwał Conrada „cholernym rasistą”. Przyznania, że to co w tym arcydziele kalekie i odrzucające, nadal jest naszym problemem.

Punktem wyjścia naszej pracy było spojrzenie na *Jądro ciemności* jako na książkę reportażową, opowiadającą o spotkaniu młodego Europejczyka z Kongiem lat 90. XIX wieku. Podróż do Konga Belgijskiego była dla Josepha Conrada spełnieniem dziecięcego marzenia. W liście do przyjaciela pisarz stwierdził, że dopóki nie

odwiedził Konga „miał pusto w głowie”. Dla młodego, pełnego ideałów żeglarza to, co zobaczył w afrykańskim kraju rządzonego przez króla Leopolda II, musiało być druzgocące. Druzgocące dla wiary w europejski humanizm. Wiary w kolonializm, ideę postępu, niesienia cywilizacji tym, których nazywano dzikusami. Druzgocące na tyle, by co chwila zadawać sobie pytanie o to, kto tu tak naprawdę jest dzikusiem. „My” czy „oni”.

Z czasem równie ważne stały się dla nas pytania o współczesne doświadczenie podróży w kontekście doświadczenia zapisanego przez Conrada w *Jądrze ciemności*. Czy rasowe i geograficzne uprzedzenia zniknęły czy przeszły zaledwie przemianę estetyczną? Czy poczucie niesienia misji cywilizacyjnej zastąpiła pomoc finansowa i militarna. Czy fascynujący mrok dżungli został zastąpiony przez obraz rajskich, dziewiczych plaż z folderów biur podróży? Czy zmiana miejsca z oswojonego „tutaj” na obce „gdzie indziej” jest spotkaniem z konkretnym „tam” czy też raczej z wymagowanym „gdzieś”, ukształtowanym na podobieństwo naszych marzeń i lęków, które zabieramy ze sobą wszędzie, zamknięte w walizkach i plecakach?

Żeliszaw Żeliszawski,
dramaturg

ŚPIEW POGRZEBOWY NAGÓW

Mogę umrzeć nawet dzisiaj.

Nie dbam o to!

Padłe zwierzę

Nie dba wcale o swój zezwłok!

Mogę umrzeć nawet dzisiaj.

Nie dbam o to!

Prawda, że każde padłe zwierzę

Nie dba wcale o swój zezwłok?

Mogę umrzeć nawet dzisiaj,

Mogą mnie pociąć albo spalić,

To nieważne!

Jakie zwierzę, które padło,

martwi się kiedy o swój zezwłok?

ŚPIEW BUSZMENÓW O ŚMIERCI

Kiedy umieramy,

Wiatr w ten dzień przychodzi,

Żeby nas stąd wymieść,

Żeby zatrzeć

Ślady naszych stóp.

Wiatr wzbija kurz

I nim zasypuje

Ślady, które były,

Gdzieżeśmy chodzili,

Bo inaczej

Byłoby tak,

Jak gdybyśmy dalej

Wciąż jeszcze żyli.

Dlatego to wiatr

Przychodzi,

Żeby zatrzeć

Ślady naszych stóp.

PRZEDŚMIERTNY ŚPIEW DENKÓW

Nawet gdybym zobaczył człowieka,

co mnie nienawidzi,

Będę go kochał.

O, Boże ojczy, pomóż mi, ojczy!

O, Boże stwórcu, pomóż mi, ojczy!

Nawet gdybym zobaczył człowieka,

co mnie nienawidzi,

Będę go kochał.

Czerwone oczy maski

wybrał i przełożył Zbigniew Stolarek

Wydanie ISKRY Warszawa 1962

PO PREMIERZE:

Tomasz Man

MOJA ABBA

Reżyseria: Tomasz Man

Występują:

Dagna Dywicka, Joanna Kasperek, Mirosław Bieleński, Wojciech Niemczyk

Występ w polskiej telewizji w czasach głębokiego PRL szwedzkiego zespołu ABBA jest punktem wyjścia sztuki Tomasza Mana „Moja ABBA”.

Autor sam przeżył fascynację ABBA stąd zapewne pomysł na opisanie historii dziewczyny, u której fascynacja przyjęła monstrualne rozmiary: ona żyje ABBA. Dzieci w szkole uczą tylko jej piosenek, śpiewa wszędzie narażając się sąsiadom, w domu ma kolekcję pamiątek włącznie z włosami jednego z muzyków. Jest dziwakiem z trudem tolerowanym przez otoczenie, irytującym nawet bliskich: męża i córkę. Sytuacja zmienia się kiedy w miasteczku zjawia się reżyser: dostrzegając w dziwacze chwytliwy temat, zaprasza ją na nagranie do telewizji. Po emisji mieszkańcy miasteczka zaczynają wielbić i naśladować kobietę, z której do niedawna się śmiali.

Man zrezygnował z opowiedzenia tej historii „po bożemu”, zamiast rozmów bohaterów mamy monologi wyrzucane bez patrzenia w oczy drugiej osobie. Tak naprawdę nikt nie chce rozmawiać, każdy jest sam, skoncentrowany na sobie: mąż (Mirosław Bieleński) urzędnik z aspiracjami na posła, córka (Dagna Dywicka) pragnąca wyrwać się z hotelowej recepcji w świat, być gwiazdą, reżyser (Wojciech Niemczyk) zainteresowany tylko pracą i żyjąca obok nich wielbicielka ABBY (Joanna Kasperek).

Postacie są przerysowane, groteskowe, ale starsi widzowie bawią się, słuchając ich wynurzeń, bo te przywołują wspomnienia czasów, których już nie ma. Autorka scenografii celowo nawiązała do tego, czym zachwycili się Polacy w 1976 roku, kiedy to w telewizyjnym Studiu 2 wystąpiła ABBA: jest białe, ascetyczne tło, schody, przebitki z nagrania a nawet balony. Joanna Kasperek i Wojciech Niemczyk bardzo ciekawie interpretują niegdysiejsze przeboje otrzymując zasłużone brawa (...).

Lidia Cichocka, Echo Dnia



PREMIERA CZERWIEC 2012

NIEBEZPIECZNE ZWIĄZKI

na podstawie powieści Choderlosa de Laclosa

Scenariusz i dramaturgia → Jan Czapliński

Reżyseria → Radosław Rychcik

Scenografia i kostiumy → Anna Maria Karczmarska

Muzyka → Michał Lis i Piotr Lis

Asystent reżysera → Dawid Żłobiński

Występują:

Dominika Biernat

Ewelina Gronowska-Ośka

Joanna Kasperek

Beata Pszeniczna

Wojciech Niemczyk

Andrzej Płata

Dawid Żłobiński

Inspicjent – sufler Barbara Sobczyk

dyrektor naczelny i artystyczny PIOTR SZCZERSKI » zastępca dyrektora ELŻBIETA PĘDZIK » kierownik literacki JUSTYNA ŻUKOWSKA, dramaturg JERZY SITARZ » koordynator pracy artystycznej i p.o. kierownika impresariatu HALINA ŁABĘDZKA » inspicjentki: RENATA GŁASEK-KĘSKA, BARBARA SOBCZYK » kierownik techniczny HENRYK DUBOWIK » światło RYSZARD ZAJĄC, MARIUSZ CIESIELSKI » realizacja akustyczna PAWEŁ MALCZEWSKI, GRZEGORZ KACZMARCZYK » brygadier sceny IGNACY ABRAM » rekwizytor DOROTA KOZERA » garderoba damska AGATA RADEK » garderoba męska AGNIESZKA OZIMINA » prace perukarskie ANNA KARCZ, KRYSZYNA WOLAŃCZYK » pracownia krawiecka damska TERESA KARYŚ » pracownia krawiecka męska KRZYSZTOF ŚLUSARCZYK » pracownia plastyczna TOMASZ SMOLARCZYK, IWONA JAMKA » pracownia stolarska LESZEK MACIAS, KRZYSZTOF JUSZCZYK » prace ślusarskie JAN MISZTAŁ » prace tapicerskie JACEK POMARAŃSKI » obsługa sceny EDWARD GOLA, WIESŁAW JAS, LECH SOBURA

SPONSORZY



CUKIERNIA
Ewa i Maciej Chmielewscy
Kielce, ul. Duża 8



MECENAS
TEATRU



KARPACKA
SPÓŁKA GAZOWNICTWA

PATRONAT MEDIALNY



Redagują: Justyna Żukowska, Jerzy Sitarz, tel. 504 037 772, e-mail: literacki@teatr-zeromskiego.com.pl

Projekt graficzny i skład komputerowy: Karolina Urbańska - Studio Reklamy 300 dpi+, Druk: O.P. APLA

Teatr im. Stefana Żeromskiego, 25-507 Kielce, ul. Sienkiewicza 32, centrala tel. 41 344 60 48, kasa i Impresariat 41 344 75 00

www.teatr-zeromskiego.com.pl, biuro@teatr-zeromskiego.com.pl